

Zaczął się niewinnie i spadło na nas znieca. Bez konkretnego pomysłu, za to z aparatami fotograficznymi wybraliśmy się na spacer po Jeżycach. Zaczęliśmy od malowniczego złomowiska przy ul. Kościelnej skąpanego w promieniach popołudniowego słońca. Nie zastaliśmy nikogo. Potem poszliśmy w kierunku ul. Mylnej i natknęliśmy się na ruiny supersamu. Ani żywej duszy. Gdzieś, chyba przy ul. Jeżyckiej, ujrzelśmy zamknięty na cztery spusty warsztat kaletniczy. Za brudną szybą ktoś zostawił pożółkły kartonik, a na nim skreśloną starczą ręką informację, że punkt jest nieczynny, ale można zadzwonić pod podany numer i się umówić. I wtedy nas olśniło. Zrozumieliśmy, że świat dawnych Jeżyc bezpowrotnie odchodzi i jeśli go nie udokumentujemy, to pewnie już nikt tego nie zrobi. Z czasem zaczęliśmy natrafiać na nieco inne Jeżyce – nowe, dopiero co rodzące się do życia...

W każdej knajpcie, sklepie, warsztacie, zakładzie czy instytucji poznawaliśmy ludzi, bez których całe przedsięwzięcie nie miałyby sensu. Zaczęliśmy mniej lub bardziej systematycznie fotografować i rozmawiać.

Rzadko kto od razu godził się na zdjęcia, szczególnie panie wymawiały się, że są „niezrobione”. Trzeba było wypracować skuteczne metody przekonywania. Czasami okazywało się, że zanim pracownik się

wypowie, należy najpierw uzyskać zgodę właściciela. W niektórych przypadkach trzeba było pisać oficjalne pisma do dyrekcji, prosząc o pozwolenie. W jednym z zakładów musieliśmy nawet podpisać umowę przygotowaną przez kancelarię prawną. Pewna przemila pani chętnie by się zgodziła na zdjęcia, ale wyznała, że pracuje na czarno i gdyby jej zdjęcie ukazało się drukiem, ją i szefową spotkałyby nieprzyjemne konsekwencje. Nauczyliśmy się, że niekiedy lepiej nie mówić, że chcemy zrobić zdjęcie danej osobie, ale „tu”, bo „tu u pani jest tak ładnie i ciekawie”. A kiedy już zaczęliśmy kręcić się po sklepie czy zakładzie i pstrykać fotki, stawali się jakby częścią tej przestrzeni. Zyskiwaliśmy akceptację. I wówczas należało w odpowiednim momencie wypowiedzieć sakramentalną formułkę: „To co? Może teraz pani też jedną fotkę zrobisz?”.

Nie było przypadku, aby rozmowa była nudna. Każdy nasz rozmówca nosi w sobie fascynującą opowieść. I każdy, kiedy się trochę zaprzyjaźnić, skłonny jest zwierzyć się z poważnych spraw. Nigdy nie zapomnę rozmowy z wesołą i pogodną panią, która nagle zmieniła się na twarz, kiedy ją zapytałem o marzenia. – Wie pan co? Kiedyś miałam marzenie, aby pójść na urlop. Ale teraz nie mam tak wygórowanych oczekiwań od życia. Teraz marzę o tym, aby mieć choć jeden dzień wytchnienia... Bo widzi pan, mój mąż ma

stwardnienie rozsiane i ja się nim opiekuję. Ale kiedy tu jestem, nie mogę się przecież nim opiekować i wówczas bardzo się o niego boję. A kiedy zajmuję się mężem, to obawiam się, że interes nie idzie. I właśnie chciałabym, aby choć na jeden dzień ktoś ze mnie zdjął ten ciężar.

I tak rozmowy z pozoru niewinne niejednokrotnie przekształcały się w poważne dyskusje o życiu, troskach, radościach i planach.

Kolejna lekcja to nauka prawdziwego partnerstwa. Fotografuję pewnego starszego pana, potem z nim rozmawiam, starannie notuję, aż wreszcie, niespodziewanie, zamieniamy się rolami. Starszy pan pyta: „A pan czym się zajmuje zawodowo?”. I wtedy okazuje się, że ja też muszę zdobyć się na otwartość i odwzajemnić zaufanie, którym mnie obdarzono. Opowiadam więc o sobie.

Podstawowa zasada, która nam się bardzo szybko ujawniła, to absolutna nieprzewidywalność tematu rozmowy i naszych własnych przeżyć. Chcieliśmy jakoś ukazać, w miarę ciekawie, z pozoru zwyczajny dom kultury. A natrafiliśmy na erupcję miłości i piękna i kiedy wychodziliśmy z wieczornej milongi, Marysia ze wzruszenia miała oczy pełne łez. Zamiast rozmowy o życiu studenckim w akademiku – gorzka prawda o Polakach wypowiedziana w najbardziej ujmujący i uprzejmy

sposób, jaki można sobie wyobrazić, i wstyd, że nie znajduję żadnego wytłumaczenia ksenofobii i agresji niektórych naszych rodaków. Takich przykładów było więcej.

Sęk w tym – i to następna prawda, która do nas bardzo wcześnie dotarła – że Jeżyce są bezkresne i wymykają się wszelkim próbom systematyki. Lista ciekawych adresów i ludzi, których portrety chcieliśmy zgromadzić, wydłużała się w nieskończoność. Kiedy opowiadaliśmy znajomym o projekcie, każdy usłużnie podpowiadał, które miejsce „koniecznie trzeba odwiedzić”. Im więcej miejsc dokumentowaliśmy, tym bardziej przekonaliśmy się, że nasza robota jest beznadziejna: nigdy nie dotrzemy wszędzie i nie porozmawiamy ze wszystkimi, którzy tworzą oblicze Jeżyc, choćby z tego powodu, że jedne kafejki znikają, zakłady rzemieślnicze się zamykają, ludzie wyjeżdżają, ale wciąż pojawiają się nowe miejsca i nowi ludzie. Wkrótce po rozmowie z księdzem proboszczem – przeniósł się do innej parafii. Udokumentowany przez dziewczyny Zakład stracił swoje urokliwe lokum przy Wawrzyniaka i musiał się z Jeżyc wyprowadzić (inna sprawa, że wrócił!). Sklep z mądrymi zabawkami Hocki-Klocki wyniósł się z Jackowskiego i jakiś czas pozostał po nim tylko sztyl.

Grupa fotografów amatorów też nieustannie się zmieniała. Projekt realizowaliśmy trzy lata, począwszy od wiosny 2015 roku. Nie wszyscy, którzy deklaruwali udział w projekcie, zdołali swój zapal zamienić na realny wkład. W rezultacie przeważająca część zdjęć jest dziełem trzech osób: moim, mojej córki Marysi oraz jej przyjaciółki, jeszcze ze szkoły podstawowej, Eweliny. Kiedy zaczynaliśmy, dziewczyny właśnie podejmowały naukę w liceum. Dzisiaj są studentkami i rozpoczynają kolejny projekt, pewnie o wiele ważniejszy niż jakieś tam fotki z Jeżyc. Na ostatniej prostej dołączyła do nas Karolina, z którą łączą nas więzy przyjaźni od dobrych kilkunastu lat.

Rozpoczęte na wariackich papierach dzieło spotkało się z zainteresowaniem wielu osób, które powierzyły nam swoje opowieści i wizerunek. Serdecznie im za to dziękuję. Wielkim zaskoczeniem było dla nas entuzjastyczne przyjęcie projektu przez szefową Wydawnictwa Miejskiego Pożnania Katarzynę Kamińską i red. Danutę Książkiewicz-Bartkowiak, która podjęła się opieki redakcyjnej nad przedsięwzięciem. Bardzo nam to pochlebia, zważywszy na wspaniałą dorobek redaktorski Dany. Dzięki wielkie za zaufanie i pomoc – stawianie ważnych pytań, udzielanie porad, wprowadzanie poprawek i wreszcie dyscyplinowanie

całego towarzystwa. Szczególne podziękowania należą się Alicji Waśkiewicz, autorce projektu graficznego książki. Alicji zawdzięczamy nie tylko ostateczny wygląd publikacji, ale także wybór zdjęć. To zadanie nie było łatwe ze względu na ogrom materiału fotograficznego (ponad 11 tys. zdjęć) oraz niesubordynację autorów, którzy nieustannie sabotowali pracę Alicji, domagając się wykorzystania kolejnych fotografii. Do pracy zagrzewał nas przez cały czas i udzielał dobrych rad wielkiej klasy profesjonalista, fotograf Mariusz Forecki, któremu także serdecznie dziękujemy. Książka nie mogłaby mieć tak eleganckiej oprawy edytorskiej, gdyby nie wsparcie sponsorów. Dziękujemy zatem panu Janowi Baehrowi, szefowi inwestycji Zajeźdnia Pożnań, panu Michałowi Bukowieckiemu, przedstawicielowi firmy Fritz-Kola, pani Joannie Grzeskiej, właścicielce Delikatesów Peretti, oraz firmie Hilo Sp. z o.o., właścicielom Brisman Kawowy Bar i GetCoffee.co, za fantastyczne podejście do naszego przedsięwzięcia. Czytelnikom zaś dziękujemy za cierpliwość. Zdjęcia wykonali amatorzy i właśnie tak, jako twórczość całkiem radosną i nieskażoną znajomością arkanów fotografii, należy naszą książkę traktować.

Paweł KWIATKOWSKI